



Mirosław Derecki

POD WIATR. POLEMIKA Z RZECZYWISTOŚCIĄ

Pierwszego grudnia 1956 r. ukazał się w Lublinie pierwszy i zarazem ostatni numer dwutygodnika „Pod wiatr”. Pięciotysięczny nakład gazety został rozchwyty w ciągu godziny. Część egzemplarzy nie zdołała nawet dotrzeć do kiosków, bo numery pisma wykupowano „z ręki” pod drukarnią i pod lokalem redakcji.

Dzisiaj ten jedyny, niepowtarzalny numer „Pod wiatr” jest prawie nieosiągalnym bibliofilskim białym krukiem.

Pismo miało być „dwutygodnikiem studentów i młodej inteligencji” - jak głosił podtytuł. Już sama winieta (zaprojektował ją członek niedawno powstałej grupy plastycznej „Zamek”, Tytus Dzieduszycki, wówczas jeszcze student biologii UMCS) swoją treścią i formą plastyczną - tymi dwoma krótkimi słowami, a także ostrym, dynamicznym liternictwem - zapowiadała, że „Pod wiatr” nie ma zamiaru być gazetą idącą na kompromisy, gładzoną, wyważoną. Potwierdzała to zresztą obszerna odredakcyjna nota, zamieszczona tuż pod winietą.

„Wydawanie nowego pisma w Lublinie - pisano w tym redakcyjnym przesłaniu - nie jest sprawą ambicji tego prowincjonalnego województwa ani sprawą ambicji zespołu redakcyjnego. Dwutygodnik „Pod wiatr” zrodził się dzięki Polskiej Październikowej Rewolucji i dzięki tkwiącej w każdym uczciwym człowieku potrzebie walki o postęp. W tamtych historycznych dniach tak zwana Rewolucyjna Grupa Studentów uczyniła więcej niż jakakolwiek inna organizacja partyjna czy społeczna. „Pod wiatr” będzie przede wszystkim kontynuacją inicjatywy podjętej przez szlachetną i patriotyczną młodzież polską. „Pod wiatr” chce być zawsze niezadowolone ze stanu aktualnego - chce skupić wokół siebie ludzi, którzy wierzą, że zatrzymać się w miejscu - to cofać się. Dwutygodnik nasz chce skupić wokół siebie tych, którzy zahartowali się w walce z różnymi wiatrami wiejącymi w twarz i zdołali uchronić najcenniejsze, co posiadamy - wiarę w człowieka”.

Wydawcą pisma były - jak głosiła redakcyjna stopka - Wojewódzki Zarząd Związku Młodzieży Polskiej oraz Rada Okręgowa Zrzeszenia Studentów Polskich. W dziesięcioosobowym kolegium redakcyjnym znaleźli się młodzi lubelscy działacze polityczno-społeczni, działacze kultury, młodzi artyści i dziennikarze: Alina Aleksandrowicz,

Janusz Danielak, Zofia Dublewicz. Tytus Dzieduszycki Zygmunt Łupina, Stanisław Markiewicz, Waldemar Mietkowski, Leszek Siemion, Zbigniew Stępek, Piotr Żbikowski. Niektórzy z nich już w poprzednich latach byli związani z uniwersyteckimi pismami „Życie UMCS” i „Życie Akademii”, inni działali w Klubie Młodej

Inteligencji, jeszcze inni byli członkami Rewolucyjnej Grupy Studentów i współorganizatorami wiecu ludności Lublina, który odbył się 23 października 1956 r. w miasteczku uniwersyteckim. Zofia Dublewicz i Leszek Siemion wchodzili w skład zespołu redakcyjnego „Sztandaru Ludu”, a wkrótce miał się znaleźć w „Sztandarze” także Janusz Danielak. Jeżeli zaś chodzi tzw. aktyw poza redakcyjny nowego dwutygodnika to w pierwszym numerze „Pod wiatr” znalazł się także materiał innego dziennikarza „Sztandaru Ludu”, Ryszarda Gontarza, zaś na ostatniej kolumnie zamieszczono satyryczny rysunek związanego ze „Sztandarem” Edmunda Szubiaka.

Co więcej - adres redakcji „Pod wiatr” brzmiał: „Lublin, Aleje Racławickie 1. p. 38 (parter), telefon 13-19”. Był to zarazem adres i lokal redakcji „Sztandaru Ludu”, mieszczącej się, tak jak i dzisiaj, na parterze gmachu KW PZPR.

Choć pismo było, jak podkreślono w stopce, „redagowane kolegialnie”, za jego naczelnego redaktora należałoby uznać Zbigniewa Stepka. Niedawny absolwent polonistyki na KUL; młody pisarz, współpracownik „Kamenu” oraz prezes koła młodych literatów, działającego wówczas pod patronatem ZMP był Stepek inicjatorem i główną siłą napędową owego raczej „na dziko” powstałego wydawniczego przedsięwzięcia. To on zebrał zespół redakcyjny, organizował materiały i on nadawał ton powstającemu dwutygodnikowi.

„Pod wiatr” powstało niejako samorzutnie. Narodziło się na fali ówczesnych nastrojów i - w sposób charakterystyczny dla czasu rewolucyjnych przemian - nikt nie pytał „odnośnych władz” o pozwolenie na tę publikację, nikt pisma nie zatwierdzał „odgórnie”. Papier wzięto z jakichś drukarnianych czy też uczelnianych zapasów. Dzięki owej prowizorce łatwiej później przyszło „Pod wiatr” zlikwidować!

Leszka Siemiona należy chyba, uważać za sui generis sekretarza redakcji. On jeden spośród całego redakcyjnego kolegium znał się na robieniu pisma, na technicznej stronie wydawania gazety. To właśnie on mógł być pomysłodawcą umiejscowienia powstającego dwutygodnika w lokalu „Sztandaru Ludu”, gdzie wszak sam pracował.

Numer „Pod wiatr” miał format 35x45 cm oraz osiem stron objętości. Wydrukowany został w Lubelskiej Drukarni Prasowej, mieszczącej się wówczas w niskim, parterowym budynku przy Krakowskim Przedmieściu, w miejscu, gdzie dzisiaj wznosi się gmach „Gracji”.

Już ten pierwszy numer jasno rysował profil gazety - jako periodyku publicystyczno-literackiego o wyraźnym zacięciu politycznym.

Numer otwierał wielki artykuł Waldemara Mietkowskiego (studenta prawa UMCS, znanego działacza studenckiego, współzałożyciela Rewolucyjnej Grupy Studentów), zatytułowany: „Polemika z rzeczywistością”. Był on jakby wykładnią nastrojów i przekonań właściwych dla ówczesnego młodego pokolenia Polaków.

Ale prawdziwymi „bombami” pierwszego numeru „Pod wiatr” były dwa zupełnie inne materiały: wielki, zajmujący prawie dwie kolumny (trzecią i szóstą), opatrzony licznymi zdjęciami, reportaż Jana Rzechowskiego o niedawnych krwawych zjściach w Budapeszcie, zatytułowany: „A Szabadsaghoz... Wspomnienia naocznego świadka” („Ku wolności”), oraz na drugiej stronie pisma: „List otwarty do tow. tow. członków Biura Politycznego KC”, pióra „byłego żołnierza Armii Krajowej”, Zbigniewa Jakubika.

Jan Rzechowski (młody lubelski lekarz czy też inżynier?) przebywał w końcu października 1956 r. wraz z grupą rodaków w Budapeszcie. Obserwował z bliska, począwszy od 23 października, to znaczy od samego początku, od wiecu tamtejszej ludności pod pomnikiem Petofiego, dramatyczne wypadki w stolicy Węgier. Jego relacja jest tak dynamiczna, tak doskonale napisana, że jeszcze dzisiaj, po z górą trzydziestu latach, czyta się ją dosłownie z zapartym tchem. Co ciekawsze, Rzechowski nigdy nie parał się zawodowo piórem. Swój reportaż napisał niejako pod przymusem, zamknięty podobno przez dwie doby na klucz przez kolegów z „Pod wiatr” w jednym z pokoi redakcyjnych...

Wspaniale napisany, gorący, pełen godności, mądry „List otwarty...” lubelskiego literata Zbigniewa Jakubika, byłego partyzanta z Zamojszczyzny, uczestnika bitwy w Puszczy Solskiej (w przyszłości autora doskonale przyjętej przez czytelników i przez krytykę literacką książki „Czapki na bakiem”) zaczął się słowami:

„Mówię w imieniu umarłych. Gdy w czerwcu roku 44 piętnaście dni leżałem konający na bagnach józefowskich, umierałem głęboko przeświadczony, że naród polski właściwie oceni w przyszłości nasz wkład w dzieło zbrojnego wyzwolenia. Po latach wyczerpującej walki ze śmiercią i kalectwem, dzięki ofiarnym wysiłkom ludzi, którym wszystko zawdzięczam - ocalałem, po to jedynie, by być milczącym, bezwolnym świadkiem codziennego bezczeszczenia pamięci poległych i systematycznego prześladowania żywych”...

Jakubik oskarżał, piętnował winnych, wskazywał na źródła zła i bezprawia, jakie pieniały się przez dwanaście ostatnich lat. Lecz pisał także: „Zmarłym nikt życia nie wróci. Szczegółami kapturowych wyroków zajmie się niewątpliwie specjalna komisja. Pozostają żywi... Pozostaje żmudna droga leczenia starych, ropiejących przez dwanaście lat ran, usuwania urazów i uprzedzeń, długotrwała reedukacja społeczna wielu dziesiątków tysięcy zarażonych niechęcią i nieufnością do socjalizmu. Pozostaje przede wszystkim zadanie najpilniejsze: przekreślić w świadomości poważnej części byłych partyzantów szkodliwy

znak równości między socjalizmem a stalinizmem oraz wrócić utraconą na długich dwanaście lat Ojczyznę tym, którzy o Nią walczyli, za nią umierali, dla niej błędzili”.

Poza wspomnianymi tutaj dwoma czołowymi materiałami numeru, odznaczał się bezkompromisowością w przedstawianiu faktów reportaż początkującego dziennikarza (jeszcze studenta prawa UMCS) Romualda Karasia, zatytułowany „Dziesięć dni to niewiele. Kartki z dziennika”. Ukazywał on z brutalną wręcz szczerością smutne doświadczenia grupy lubelskich studentów, którzy w tzw. czynie młodzieżowym wybrali się na wykopki ziemniaków do jednego z pegeerów w województwie olsztyńskim. Karaś piętnował bałagan, bezład organizacyjny, bezmyślność, głupotę, a także ludzkie chamstwo, których on i jego koledzy byli świadkami. Trzeba przyznać, że było to absolutne novum dla czytelników, karmionych dotąd zazwyczaj przez prasę zupełnie innymi dziennikarskimi sprawozdaniami z „radosnej” wiejskiej rzeczywistości połowy lat pięćdziesiątych. To chyba ten właśnie materiał stanowi pierwsze słowo w późniejszej reporterskiej karierze Karasia.

Poza tym znalazło się w numerze opowiadanie Zbigniewa Stępka, wiersze Stefana Zarębskiego i Andrzeja Tchórzewskiego, recenzja pióra Józefa Zięby ze sztuki Artura Marii Swinarskiego „Ararat”, wystawionej właśnie w lubelskim teatrze im. Osterwy (notabene Kazimierz Iwiński grający w sztuce biblijnego Noego, ucharakteryzowany został na... Władysława Gomułkę). A także m. in. artykuły publicystyczne Krystyna Wiesławskiego, Ryszarda Gontarza, miniatury literackie Janusza Danielaka, filozoficzno-humorystyczna przypowieść, której autorem był Bogdan Dziemidok. Jedną z zamieszczonych na ostatniej stronie „Fraszek historycznych” Zbigniewa Stępka, zatytułowana „Niestety”, brzmiała:

Głupi z szują - dyskutują. Ci co wiedzą - cicho siedzą.

Jak się rzekło, pierwszy numer „Pod wiatr” był zarazem ostatnim numerem tego ambitnego, wartościowego, ale dla niektórych nazbyt bojowego pisma.

Do dziś krąży po Lublinie legenda, że „Pod wiatr” zlikwidowano jakoby na wniosek samego Władysława Gomułki. O wiele jednak bardziej jest prawdopodobne, że stało się to za sprawą samych tutejszych lubelskich władz, które po prostu chciały „mieć spokój”.

Gotowy prawie do druku drugi numer „Pod wiatr” (materiał był już złożony na linotypach i odbity w drukarni na tzw. szrotkach) nigdy nie poszedł na maszyny drukarskie. Nawet nie wiadomo dokładnie, jakie materiały wchodziły w skład tego drugiego, nie wydanego numeru. Papier jest kruchy, pamięć ludzka zawodna, a nieformalny redaktor naczelny pisma, Zbigniew Stepek, literat, dziennikarz oraz alpinista, od kilkunastu już lat spoczywa, przywalony lawiną w Himalajach...

Tylko jeden dokument zaświadcza o tamtym nigdy nie wydrukowanym numerze: zachowany w rękach rodziny maszynopis zakwalifikowanego wówczas do druku (z adnotacjami poczynionymi ręką Leszka Siemiona) opowiadania Marii Szczepowskiej -

„Wielki Bimbajło”, napisanego zresztą jeszcze w roku 1952. Opowiadania, które ze względu na swoją treść i wymowę (czerpiące z doświadczeń autorki w jednym ze stalinowskich łagrów) przez wiele jeszcze następnych lat odrzucane miało być przez kolejne czasopisma oraz wydawnictwa. Dopiero teraz, po trzydziestu sześciu latach od chwili powstania, „Wielki Bimbajło” trafia do czytelnika (patrz str. 8-9 niniejszego numeru „Kamena”).

Pierwodruk: „Kamena”, 1988, nr 12, s. 6-7.